

POZNAŃ, 8 stycznia.

Powtarzając przed kilku dniami artykuł Gazyety Narodowej o polskiej sejmowej delegacji w rejchsracie wiedeńskim, skończyliśmy zapytaniem: azali niewesoły ten obraz nieprzedstawia pewnych analogii z polskim kołem sejmowym w Berlinie?

Otóż zdaje nam się, że przedstawia niejedną. Wypowiadając to, opieramy się na informacjach zasięgniętych od członków tego koła, jakoteż na postrzeżeniach, które poniewolnie każdemu się nasuwały, kto z powodu tej lub owej sprawy publicznej z tym kołem w jakąś pośrednią wchodził styczność. Niebyło wprawdzie w kole berlińskim tych ciągów i rozdziałów wewnętrznych, skupiających się około różnych nazwisk lub osobistości, jak w kole wiedeńskim; nie było może nawet wyraźnego rozdziału pod sztandarem przeciwnych zasad; ale nie było jak się zdaje, dla tego tylko, że wewnętrzne życie koła spotęgować się nawet nie zdołało do walki sprzecznych ambicji lub sprzecznych zasad. Natomiast była też sama chwiejność i niemoc organizacji, też sama luźność w pojmowaniu obowiązków, jakie mandat poselski na odzianych nim wkłada, toż samo dyletanckie zaglądnienie na sejm do Berlina kiedy czas i ochota pozwały, a najdowolniejsze i najtłumniejsze absentowanie się w razie przeciwnym. Ze statystyki obecności naszych posłów w ciągu ubiegłej pięciomiesięcznej sesji sejmowej, wiemy, że najwyższa cyfra razem w Berlinie zebranych, wynosiła przez dni kilka, 18 z ogólnej liczby 23 polskich posłów, że natomiast bywały dni i tygodnie gdzie ich zaledwie 5 do 6 obecnych liczono, że bywały chwile, i to chwile największej wagi dla wewnętrznej działalności koła, gdzie niebyło w Berlinie ani prezesa, ani wiceprezesa, ani żadnego z sekretarzy, słowem żadnej spójni formalnej pomiędzy owymi kilkoma posłami, czysto przypadkowym sposobem w Berlinie pozostawiali.

W dużej części wiedzieliśmy o tych niepociesznych zjawiskach, zaraz już po zamknięciu ostatniego sejmu; milczeniem wszelako dawaliśmy tylko wyraz naszego smutku i zgorznienia z tego powodu, bośmy nieradzi byli kwapić się z podkopywaniem i osłabianiem wielkiej, jedynej niemal zbiorowej powagi, jaką polskie koło sejmowe wśród naszej społeczności w rzeczach publicznych zażywa. W obec jednak na nowo rozpoczynającego się sejmu; w obec nagłości i wagi mnóstwa kwestyi publicznych, które około berlińskiego koła niebawem grawitować zaczęły; w obec obawy, ażeby doświadczenia lata ubiegłego a raczej lat ubiegłych nie powtórzyły się w niepoprawnej, a może w pogorszonej edycji, słusznie pytać się nam godzi: na co się przyda trwożliwie ochraniać i bronić powagę, jeśli ci, co ją piastują, żadnego z niej nie robią użytku? Przyda się ona, to prawda, zawsze jeszcze do polechtania próżności i miłości własnej koła i jego członków, do zatrzymania około ich głów tradycyjnej aureoli najwyższych moderatorów rzeczy publicznej, ale ten użytek mało nas, jako dziennik polityczny o rzecz tylko troskać się powołany, obchodzi, pomimo wszelkiego szacunku jaki wyznaczamy dla osoby każdego w szczególności z szanownych naszych posłów.

Bo też, niechcąc dopuścić się niesprawiedliwości, przyznać trzeba, że wina niebardzo wesołego tego stanu rzeczy, nie tylko w osobach tych posłów leży, którzy wszyscy i obywatelstwem i patriotyzmem, a w dużej części i zdolnościami się odznaczają, ile raczej w naturze wyjątkowych naszych stosunków. Przez pokolenia całe zdala od wszelkiego publicznego organizmu trzymani, straciliśmy poczucie jego wymagalności i nawykliśmy do szlacheckiego dyletantyzmu w kwestjach publicznych i w pracy narodowej. Żywo się dysputuje o naczelnym pytaniu życia społecznego i politycznego, kiedy jest pohop, animusz i czas po temu; zapadają nawet przesłuchane uchwały i biorą się najpiękniejsze postanowienia; ale że każdy z lubownictwa tylko lub poświęcenia około tych rzeczy się krząta, a nikt z formalnego ob-

wiązku, nikomu więc istnienie i potrzeba takiego formalnego obowiązku na myśl nawet nie przychodzi. A choćby przyszły, to każdy ma swoje prywatne sprawy, lub innostronne a dawniej podjęte obowiązki, które go całego nieraz najmocniej pochłaniają. Ten jest gospodarzem, ów ojcem rodziny, tamten zawodu życia, z którego dla siebie i rodziny czerpie utrzymanie, przerywać zupełnie nie może, inny wreszcie jest już nie młody lub upadający na zdrowiu i męczyć się musi. Dzieje się więc, że niemasz nigdy nikogo do wykonania tych pięknych uchwał, do utrzymania ciągu nieprzerwanego między sporadycznymi objawami mądrości politycznej. Każdy po odbytej naradzie idzie, gdzie go codzienny prąd prywatnego życia i prywatnych porwa obowiązków, a z oceanu planów i postanowień, zaledwie skromniutki po zostaje strumyczek czynu. Tak bardzo zresztą ta dysharmonia i dysproporcja naszych statystów dyletantów nie uderza, bo chociaż oni pauzują, życie społeczne i organizm publiczny idą sobie jakoś dalej. Zdaje im się, że to tak samo ze siebie na świecie się dzieje, zapominając, że tymczasem nad ciągiem tego życia i organizmu tam rządy rosyjskie, owdzie rządy niemieckie czuwają i po swojemu się krzątają.

Dla społeczeństw, których wszystkie potrzeby moralne i materialne opatrywane są przez rządy właściwe, w tych społeczeństwach początek swój i cel swój mające, tego rodzaju sporadyczne troski i sporadyczna akcja dyletantów rzeczy publicznej i członków reprezentacji krajowych, mogą od biedy uchodzić i żadnych ciężkich niepociągać szkód za sobą; bo chociaż zaniedbują oni i nie będą w stanie pokierować rzeczy publicznej w sensie przeważnego poczucia narodu lub mądrości własnej, to przecież rzecz publiczna, ubłogosławiona z kąd inąd własnym swym organizmem, nie rozleci się, nie zaśnie, nie ustanie raptem w drodze, ale mniej lub więcej trafnie, dalej sobie jakoś iść będzie. Możnaż to powiedzieć o życiu publicznym polskiej ludności w W. Ks. Poznańskim i Galicyi? Nie ubliżając bynajmniej dostojnikom austriackim, jak minister hr. Rechberg, namiestnik Galicyi, hr. Mensdorf i dalej panowie Mosch i Wukasowich, ani też pruskim dostojnikom którzy nad losami W. Księstwa czuwają, jak p. Bismarck, hr. Eulenburg, p. Bonin i p. Bärensprung, czyż można po nich oczekiwać, ażeby czynili zabiegi i wysilenia nad wzmocnieniem, rozszerzeniem i zbagacaniem żywiołu polskiego, nad śledzeniem i zaspakajaniem jego potrzeb moralnych i materialnych, oraz tysiącznych postulatów życia narodowego? Wątpimy nawet, iżby się ci dostojnicy do takowego zadania przyznawali, coż dopiero, żeby mu odpowiadać chcieli. Jeśli więc w rządach ukonstytuowanych niemasz tej ciągłej troski nad narodową oświatą Polaków, nad ich językiem, nad opatrzeniem żywotnych ich interesów, słowem nad dobrem i szczęściem polskiego narodu, ani też ciągłej pracy, którą podobna troska płodzi, niejestżeż naturalną, iż cząstki tego narodu szukają sobie jakichś takich surrogatów tej zesrodkowanej troski i pracy? A gdzież ją znajdują? W tajnej może organizacji jaki j? Pomijając, że prawem jest zakazana, środek nieodpowiadałaby wcale celowi, ze siebie jawnemu i pod każdym względem godziwemu i pozwolonemu. Byłoby to toż samo, co dla rozgrzania sobie pokoju, chcieć w piecu palić beczką prochu. Proch jeśli się używa, do czego innego się używa. Zawiązać osobne stowarzyszenie, we formie i granicach prawem pozwolonych, ku strzeżeniu i popieraniu polskich interesów? Droga ta byłaby może najwłaściwszą. Ponieważ jednak trzeba do tego ludzi wybranych zaufaniem publicznym, a wybory tu niepodobne; ponieważ trzeba nadto ludzi światłych, swobodnych, pracowitych i obowiązkom publicznym zupełnie oddanych, którzyby celom stowarzyszenia cały swój czas i ciężką, ciągłą a systematyczną pracę poświęcić mogli i chcieli, i to nie jednego ani dwóch, ale dziesięciu lub dwudziestu, instynktowo więc każdy czuje, że takie załatwienie kwestyi siły dane w małym naszym kraiku prze-

nosi, że zresztą podobne stowarzyszenie spotkałoby niebawem przeszkody extralegalne, każdy ruch jego paraliżujące.

Cóż więc naturalniejszego, jak że instynkt powszechny, widząc wybrańców zaufania ogólnego zebranych w celach publicznych na sejmie w Berlinie, do nich radby się odnosił w każdej wątpliwości i potrzebie, u nich szukał rady, światła, przewodnictwa i powagi w każdej robocie publicznej? Byli nawet podobno tacy wśród sejmowego koła, którzy nieodbiegali od myśli przyjęcia na swoje barki tego brzemienia. W teorii dałoby się to nawet z łatwością i bez żadnego przestępowania najostrożniejszej legalności urzeczywistnić poniekąd: bo cóżby mogło stać na zawadzie, aby ludzie otoczeni zaufaniem powszechnym i wyjątkową odzianą powagą, lubo właściwie do parlamentarnych tylko powołani czynności w Berlinie nie mieli tej moralnej powagi i tego zaufania użytkować na drodze prywatnych rad i skazówek dawanych swoim mocodawcom, którzy są zarazem ich znajomymi, rodakami i spółobywatelami? W teorii, powtarzamy, przyznać to trzeba. Jakżeż wszelako przyznać w praktyce, kiedy doświadczenie uczy, że niemasz w kole sejmowym polskim wystarczającego na ściślejszy zakres zadań czysto parlamentarnych zasobu organizacji wewnętrznej, ładu, ciągu, poczucia ciężkiego obowiązku i pracy? A więc i ten środek pozostałby piem desiderium, albo zamieniłby się w czczy i złudny formalizm nowego jakiegoś imiennego dygnitarstwa.

Dowcipny ale niechętny kołu polskiemu Zoil pewien, powiedział przed laty, że koło to niczego z systemu i obowiązku nie robi: kiedy milczy, to milczy z niemocy wewnętrznej, kiedy mówi to mówi z próżności. Dalecy jesteśmy od przytakiwania tej złośliwej charakterystyce, ale przyznać musimy, że w punkcie niemocy, zawiera ona niemało prawdy. Za mówieniem byle mówić, i za robieniem czegoś byle się krzątać i machać rękoma, wcale nie jesteśmy. Potrzeba jasno rozpoznana, jedyną winną tu być miarą. Nieraz wypada umieć w porę milczeć, niekiedy bardzo długo i upornie; nieraz z niewczesną krzątaniną pauzować należy; inną znów razą potrzeba mieć słowo trafne i wymowne, mieć czyn jasny i śmiały. Otóż zdaje nam się, że w kole polskim w tym względzie częściej rozstrzygała niemoc lub chęć zagłuszenia siebie i kraju w tym punkcie, niżli istotna potrzeba. Niemoc zaś ta płynęła z braku pracy i dyletanckiej obojętności jego członków, którzy pozostawiali koło sejmowe często bez treści, lub ze szczupłą i codziennie zmieniającą się treścią, a niekiedy bez ram nawet.

W czym lekarstwo na tę niepocieszoną ułomność? Zdaniem naszym w jaśniejszej i silniejszej niż dotąd organizacji wewnętrznej koła, w żywszym poczuciu obowiązku publicznego z mandatem poselskim związanego, w rozdzieleniu pracy, wreszcie — i tu podobno skopuł nieprzebyte — w istotnej pracy wszystkich, na jaką kogo starczy.

Zastanówmy się chwilę nad każdym z tych czterech punktów.

Mówiąc o potrzebie jaśniejszej i silniejszej organizacji, nie mamy konieczności nowego jakiegoś statutu na myśli. Owszem, zdaje nam się, że znany nam, oddrukowany kiedyś w Dzienniku statut, zupełnie wystarcza, byle się w życie zamienił, a nie pozostał martwą literą, nieraz samymże członkom koła z brzmienia i znaczenia niepamiętną. W granicach tego statutu i uzupełniającej go praktyki, prezydium koła wraz ze sekretaryatem, nieprzystając na przewodniczeniu posiedzeniom koła i spisywaniu protokołu, powinnyby sprawować te funkcje, które we wszystkich organizacjach sprawuje, to jest funkcją reprezentowania ciągu myśli i ciągu czynności koła, w obec zmieniającego się codziennie składu obradujących członków; dalej funkcją inicjatywy, porządkowania, przypominania, przechowywania, znoszenia się. Komisya parlamentarna miałaby sobie wyłącznie powierzona funkcją kierowania czynnościami na parlamentarnym polu bitwy, to jest w izbie

w chwili rozpraw. Niesłuchanie ważną i esencjonalną funkcją pracy przygotowawczą sprawowałiby tak zwani referenci, to jest członkowie wyznaczeni na cały rok sejmowy do czuwania nad interesami pojedynczego jakiego wydziału, np. spraw politycznych, duchownych, finansowych, sądowych, narodowych, językowych, konstytucyjnych, międzynarodowych itd., to jest do ściągania i przerabiania objaśniających materiałów, do studyowania każdej nadarzającej się kwestii z tego wydziału, i do referowania o niej kołu, wreszcie do projektowania temuż kołu ewentualnej inicjatywy. Referenci takowi mogliby nadto być arcystosownym środkiem zetknięcia, porozumienia i komunikacji koła z mocodawcami we wszystkich kwestjach specjalnych. Skoro bowiem publiczność będzie wiedziała, iż pan X. jest referentem spraw językowych, pan Y. do spraw duchownych itd., i że jako taki musi w czasie międzysejmowym studyować odnośne kwestye i gromadzić potrzebne materiały, cóż wtedy naturalniejszego, jak że wszystkie informacye, notatki, dokumenta, zapytania i komunikacye w tej specjalnej materii do niego będą zewsząd spływały, niepotrzebując marnować się niezużyte, lub dostawać się w ręce, które ich użyć nie mogą. Byłaby już naturalna, na całe trzecie wieki prawodawcze, powaga i środek istotnej pracy w każdym specjalnym dziale kwestyi publicznych. Funkcją nareszcie obrad krytycznych i brania postanowień zbiorową odzianą powagą, a zarazem funkcją moralnego popierania całej organicznej czynności koła przez liczbę, pełniliby zgromadzeni na posiedzenie koła członkowie. W tejto ostatniej funkcji, z natury rzeczy sporadycznej i zmienną bardzo intensywność przedstawiającej, zbiegały się dotąd wszystkie inne, dla tego zapewne, że ona najłatwiejszą. Ztąd brak ładu, ztąd niemoc.

Wyrażając życzenie żywszego poczucia obowiązku publicznego, dalecy jesteśmy od jakiegokolwiek chęci uchybienia szanownym naszym posłom, dalecy także od skazywania tych co przyjęli mandat poselski, na konieczne, ciągle i pedantyczne przesiadywanie w Berlinie, bez żadnego względu na wszelkie inne obowiązki i stosunki. Bynajmniej! Zdaniem naszym, ilekroć na to pozwalają wewnętrzne prace koła, organizm koła i natura czynności sejmowych, i ilekroć to ze strony koła uznanem zostanie, absentować się mogą wybornie całe dziesiątki naszych posłów, chociażby też i na cały ciąg sejmowy. Ale jak się rzekło, musi się to dziać ze świadomością rzeczy i z takim obmyśleniem zastępstwa, iżby organizm koła zupełnie funkcjonować nie przestawał, a deputacja polska w Berlinie nie zamieniała się w przypadkowy konglomerat pięciu lub sześciu rozrzuconych po mieście posłów, którzy zaledwie na plenarnych posiedzeniach izby ze sobą się widują. Pragnąc więc żywszego uczucia obowiązku, pragnęlibyśmy tylko po prostu, żeby owo uczucie dyktantyzmu politycznego, owo przyjeżdżanie od niechęci, kiedy się ma czas i ochotę, a wyjeżdżanie kiedy się nudzi lub pilno do domu, o żadne inne nie pytając względy: żeby owo uczucie ustąpiło miejsca poczuciu, że się podjęło twardego i ciężkiego obowiązku publicznego, a więc co się czyni, czynić należy z powinności a nie z łaśki. Powinność zaś wymaga, iżby przy wyjazdach, absentowaniach, urlopach, lub nicnierobieniu w Berlinie, radzić się nie tylko głosu własnej potrzeby i o-choty, ale potrzeby sprawy publicznej. Że zaś ta potrzeba wymaga nie samego tylko oddania głosu na rozstrzygającym jakimś posiedzeniu izby, lub powiedzenia mówki i zniknięcia znowu, tego z pewnością w rzecz bliżej wchodzącym tłumaczyć nie potrzebujemy.

Rozdział pracy jest niezbędny, jeśli cośkolwiek ma się zrobić na tak ogromnym polu przez tak małą liczbę pracowników; gdzie bowiem wszyscy wszystko robią, tam z pewnością nikt nic nie robi. Zaledwie potrzebujemy nadmienić, że rozdziału tytularnych dygnitarstw z rozdziałem pracy za synonimy nie uważamy.

Ostatnie lekarstwo upatrywaliśmy w pracy. Tak niestety! w pracy! Twardy to wyraz, jak żelazo, ciężki jak obowiązek, ale cóż robić! Bez niego nic się zgłębi nie urodzi ani w polityce, ani na żadnym polu. Tymczasem myśmy prawie stracili tradycją niemal pracy publicznej. Każdy z nas bawił się mniej lub więcej rzeczą publiczną, mało kto widział z bliska pracę na tym polu, a nikt prawie sam nie pracował. Dla niemieckich posłów od północy uszłaby jeszcze taka dyspozycja duszy i tempera-

mentu, bo jak który z nich zawadzi wśród zatrudnień parlamentarnych o wielką ciemność lub trudność, to zapukać tylko potrzebuje do swego znajomego lub kolegi finansrata, krygsrata, justizrata, regirungsrata, wreszcie do samychże ministerstw, a data statystyczne, dokumenta, anteriora, akta, ustne i piśmienne objaśnienia wszelakie, sypną mu się zaraz jak z rogu obfitości. A gdzież kto z naszych posłów uda się po to wszystko w kwestjach najbliższej narodowości i interesa nasze obchodzących, jeśli tego wszystkiego sam nie zbierze, nie przetrawi, każdej kwestyi sam nie przestudyuje? A jakżeż znowu sposób postawić krok bezpieczny i pewny swego, lub chociażby też nawet milczeć ze spokojnym sumieniem, jeśli się decyzyi swojej nie oparło na jasno obejrzanę, zgłębioną i rozmyślaną rzecz? Tymczasem, rzecz dziwna! Jak nas zapewniają, niemieccy posłowie w Berlinie, którzy wszelakie mają z góry i ze wszystkich stron ułatwienia i mogliby właściwie bez wielkiej publicznej szkody dyktantować tylko, pięć razy tyle pracują co polscy. Prawda, że oni się czują na swoich śmieciach, u siebie!

Skończyliśmy. Obawiamy się, aby niejedyn z szanownych naszych posłów niechęciał nam wziąć bardzo za złe przedmiotu, ciążę i tonu naszych uwag dzisiejszych. A przecież wielką wyrządziły nam niesłuszność: o osobach i nazwiskach członków koła polskiego zupełnie zapomnieliśmy pisząc powyższe uwagi nasze, trudno zaś o życzliwszą chęć dla samegoż koła, nad tę która nam je dyktowała. Jeśli zresztą omyliliśmy się w charakterystyce strony faktycznej i w sędzie naszym o sposobach naprawy, czyż mylna krytyka skromnego jak nasz dziennika, może dosięgnąć i w czémśkolwiek naruszyć majestat wybrańców narodu?

Poznań, 8 stycznia. Przedwczorajsze gazety niemieckie podają od granicy polskiej datowany telegram, że właściciel ziemski z powiatu piotrkowskiego, Zaremba, powieszony został w lesie, z powodu, iż przytrzymał kilku podatkových poborców komitetu centralnego i władzom rosyjskim ich wydał. Jaka intencja przewodniczyła przesyłaniu dziś telegramem, tej dosyć już stariej wiadomości o gwałtownej śmierci p. Zarembki, o której już przed kilku tygodniami czyniliśmy wzmiankę, trudno nam wymiarkować. Telegram ów zdaje się być zresztą w kilku istotnych punktach zupełnie mylnym, bo p. Zaremba znalazł śmierć, wedle powszechnie zaakredytowanej wieści, nie w lesie ale we własnym pokoju, i nie za wydanie poborców rewolucyjnego podatku, ale za zdradę, która się miała podobno wykryć z własnoręcznych jego listów, znalezionych na trupie zamordowanego naczelnika tajnej policyi, Felknera. Być może, iż cały ten spóźniony telegram jest tylko manewrem obrachowanym na efekt w dziennikarstwie zachodnim, podobnie jak ów niedawny telegram petersburski o zniesieniu konfiskaty wszystkich polskich majątków i jak wiele innych telegramów z rosyjskiego wychodzących źródła. Jaką zresztą dobrą wiarą czy też dobrą informacją odznaczają się dzienniki niemieckie, podające się za skwapliwe narzędzie rosyjskich manewrów policyjnych, przekonany o tym list z Warszawy, zamieszczony w przedostatnim numerze berlińskiej Kreuz-Ztg. Autor tej korespondencji, który ciągle przybiera mięt człowieka poważnego i u najlepszych źródeł informującego się o istotnej prawdzie, ma czoło szerokie pisać komentarz nad owym świeżym ukazem petersburskim względem konfiskat, i za fakt dokonany przyjmując, że zniesienie konfiskat polskich majątków w istocie nastąpiło, objaśnia, iż należy w tej łasce widzieć jedynie krok natchniony względami gospodarstwa narodowego, gdyż z 204 dóbr skonfiskowanych lub zaskwestrowanych w Królestwie Polskiem, rząd miał tylko 2361 rubli czystego rocznego dochodu. Oczywiście korespondent ten ani zajął nawet do treści ukazu, o którym się tak szeroko a tak fałszywie rozpisyje, a jeśli zna jego treść, to jeszcze dlań gorzej, bo wtedy z rozmysłem wierutnie fałsze w świat puszczają. W ogóle trzeba dziś być w najwyższym stopniu niedowierzającym w punkcie listów i telegramów wysyłanych z Królestwa i z Rosyi do niemieckich i francuskich dzienników, bo wszystkie prawie są podstępnie układane i wysyłane przez agentów rządowej myśli tamtejszej.

NPan raczył naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej, rzeczywistego tajnego radcę Bonina, tymczasowo usunąć na odstawkę, a w jego miejsce mianować dotychczasowego rzeczywistego wyższego radcę finansowego i dyrektora w ministerstwie skarbu, Horna w Berlinie, naczelnym prezesem prowincyi poznańskiej, a prezesa rejencyjnego Guenthera w Koblencyi rzeczywistym tajnym wyższym radcą finansowym i dyrektorem wydziału kasowego i etatów w ministerstwie skarbu.

Berlin, 7 stycznia. Stan zdrowia N Pana się polepszył; przyjmował on dziś już prezesa ministerstwa pana Bismarck-Schoenhausena i król. ambasadora u cesarsko francuskiego dworu, hr. Goltza.

Tutejsza Kr.-Ztg., którą obecnie za organ półurzędowy, a przynajmniej za bardzo dobrze z rządu zaakredytowany uważać należy, pisze: W niektórych dziennikach, mianowicie w Frankfurcie n/M. wychodzącej Europe natrafia się na jak najbajeczniejsze wiadomości częścią o depezach, które

p. Bismarck miał do Wiednia posłać, częścią o rozmowach, jakie tenże miał z posłem austriackim, wszystko to tak zredagowane, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach takiemu głupstwu uwierzyć nie może. Nie jest podobną wszystkim te gadaniny pojedynczo odparać, a zatem ogólnie tylko one niech nam będzie wolno zcharakteryzować. Prawdą w tym wszystkim jest tylko to, że mniej więcej przed dwoma tygodniami odeszła depeza do Wiednia, ażeby pod względem kwestyi delegowanych, stosunki pomiędzy Prusami a Austrią bardziej jednozgodnemi uczynić. Gdzie się do siebie chcą zbliżyć, tam zwykle się rozbić przeszkody, jakie zbliżeniu temu może na zawadzie stojać. Więcej w sprawie tej stąd, jak się zdaje, nie uczyniono, a rozmowa jakie się o tym przedmiocie napotyka w najrozmaitszy sposób w prasie austriackiej, są zapewne więcej wyrazem panującego we Wiedniu dualizmu, jak polityki austriackiej.

Tenże dziennik donosi, że stan zdrowia barona Canitza, dotychczasowego posła pruskiego w Rzymie, który już do Niemiec przybył, zapewne niedozwoli mu posady swęj na nowo objąć. Tymczasowym następcą barona Canitza miał być, jak wiadomo, hr. Usedom, teraz atoli, ponieważ posada ta stanowczo obsadzoną być powinna, zapewne otrzyma ją inny dyplomata.

— Minister sprawiedliwości, hr. Lippe, wydał przed niedawnym czasem okólnik do sądów apelacyjnych, w którym im za-leca, ażeby do obwieszceń urzędowych używali wyłącznie Staats-Anzeigera, dzienników rejencyjnych i urzędowych dzienników powiatowych. Okólnik ten sprawił w świecie handlowym bardzo niemile wrażenie, każdy bowiem zwykł był czytywać podobne ogłoszenia w dziennikach najbardziej rozpo-wszechnionych. Rozporządzenie to, jak się zdaje, jest zakrojone na uszczuplenie dochodów gazetom liberalnym.

— Poseł zielonogórskiego powiatu p. Foerster z Konotopu pociągnął do odpowiedzialności podpisane osoby na adresie lojalnym za obrazę i oszczerstwo izby poselskiej w nim zawarte. Superintendent Wolff, jeden z pięciu podpisanych na tym adresie, oświadczył do protokółu, że ani niewzywał do podpisu rzeczzonego adresu, ani ra nim się nie podpisał, ale podpis jego ściażął się do adresu innego, przez niego zredagowanego. Gdy się atoli dowiedział, że bez wiedzy jego użyto podpisu do innego adresu, żądał zwrotu swego podpisu od dziedzica pana Goetze, ale napróżno. Podobnie oświadczył do protokółu radca obrachunkowy Ludwig, że ani podpisał ani wzywał do rzeczzonego adresu i nie wie jak się dostał jego podpis pod ten adres w miejscowym dzienniku. Obaj zaś wzbraniłi się podać te oświadczenia swoje protokolarne do publicznej wiadomości. W skutek tego postępowanie dalsze sądowe przeciw nim wytoczono. Tkacz Klinge również podpisany na adresie tłumaczył się, że swój podpis położył tylko na czystym papierze, nie wic atoli, czyli jego podpis użyto do lojalnego adresu lub innego. Zresztą uwiedziono go tylko do podpisu. Pan radca Schulz podobnie oświadczył, że tylko chciał podpisać adres zredagowany przez Wolffa, nie zaś adres lojalny podany królowi, o którym mowa, a gdy się dowiedział o treści ostatniego adresu, napróżno żądał zwrotu podpisu swego przez nauczyciela Klipstejana.

KROLESTWO POLSKIE.

Warszawa, 2 stycznia. Policyant Żlobicki, który miał wiadome zajęcie ze swemi przełożonymi, został rozstrzelany dzisiaj w cytadeli.

— Piszą ztąd do Czasu pod datą 31 grudnia: Obrona mecenasa Muszyńskiego, jednego z najzdolniejszych prawników w Warszawie, ze stanowiska prawnego uważana, niezostawia nic do żądania. Ponieważ cesarz niedawno rozkazał sprawy polityczne cywilnych sądzić sądom wojennym ale według obowiązującego kodeksu kar głównych poprawczych (gdy dotąd sądzono je według swodu ustaw polowo-wojennych, których nikt w kraju nie zna bo nigdy nie były publikowane, P. R. Cz.), obrońca więc z kodeksem w rękę, wykazawszy wszystkie przepisy, dowiódł, że nietylko kary stosowane być winny według kodeksu, lecz i ocenienie karygodności czynów wedle obowiązującej procedury dziać się powinno. Niewchodzimy w szczegółowy rozbiór prawnych dowodów i rozumowań obrońcy, ograniczymy się tylko krótką wzmianką, że obrońca przekonał faktami ze śledztwa, że żaden nie należał do stowarzyszenia, którego naczelników nie ma, a cel jest nieznany, i wykazał niewłaściwość zarzutu formowania wojska powstańczego, zrobionego kółkom do których należeli obwinieni, co przyznali, że wykonali przysięgę; rozebrał przysięgę i wyświecił jej nieszkodliwość, nigdzie w niej bowiem nie ma mowy o powstaniu. Dalej skrytykował sposób badania w komisji śledczej, która wykrywa mniemanych winowajców i wieści słyszane podając za fakta, wmawia w obwinionych ich spełnienie. Nie idzie ona od czynów do sprawców ale przeciwnie postępując, stara się o sprawców i czyny w nich wmawia. Przekonał, że istota czynu, nie została ustanowioną; a cała ta sprawa wymyślona przez agentów policyjnych Piwonońskiego i Markitana. Ostatni zebrał kilku ludzi i prowadził ich do domu przy ulicy Krzywe koło do przysięgi, gdzie już czekała na nich policja, która ich arestowała. Obydwoma kierował dozorca Rakowski. Regulamin piechoty i służby obozowej, który znalazłiono u kilku obwinionych, z czego, jak i z tego śmiesznego arsenału, o którym już mówiłem, wzięto powód i również z ogłoszonej w Dzienniku urzędowym formy organizacyjnej, na której jest data 24 lipca, a więc data dnia w którym obwinieni byli już w więzieniu; z tego wszystkiego wzięto powód do zrobienia zarzutu więźniom będącym pod sądem, że formowali wojsko polskie.

Szczegółowa obrona klientów mecenasa Muszyńskiego, była również gruntowna, jak i obrona ogólna. Zrobiła ona też wrażenie, przekonała o niewinności, bo dowiodła niemości zarzutów. Głos obrońcy poważy i pelen treści. Zakończył, wspomniawszy, że wrodzone uczucie miłości ojczyzny, które poprowadziło pod sąd obwinionych, jest uczuciem dla którego cały kraj, wszyscy rodacy zajmują się ich losem i czekając na

wyroki sędziów, błagają Boga, ażeby im dozwolił uznać niewinność podsądnych.

Po tej obronie, która jak i wszystkie musi być przetłomaczona na rosyjskie jak to wczoraj powiedział gen. Kornilowicz, dla dostawienia jej do akt sprawy, której wyroku niecierpliwie oczekuje cała publiczność, na dzisiejszej sesji, rozpoczęto badanie obwinionych, których ma bronąć mecenas Podoski. Pierwszy z nich pytany był Walenty Bęczkowski, terminator siodlarski, jeszcze dziecko, o wykonanie przysięgi. Po nim badano Andrzeja Włodarskiego, majstra stolarskiego. Prezes powiedział, że ważne na nim ciąży zarzuty, bo znał Chmielińskiego Ignacego i niektórzy przeciwko niemu świadczyli. Włodarski przytomny a zupełnie niewinny, niepozwolił złapać się na kruciki p. Afanasiewa i pomimo podstępnych zapytań, przeciwko którym formie oświadczył się mecenas Podoski, nie będąc sprzecznym z zeznaniami w cytadeli porobionemi, wytłomaczył się jasno i stanowczo z zarzutów mu robionych. Do Chmielińskiego Ign. chodził po robotę, który mu kazał robić linie i ekierki i żadnych z nim stosunków innych nie miał. Ci którzy przeciwko niemu świadczyli, odwołali swoje zeznania; tak więc niewinność jego jest zupełnie wykazana; nierozumienie więc tej zawziętości sądu przeciwko Włodarskiemu, dla której p. Afanasiew zapominał o postępie jaki zrobił w sposobie badania i powrócił do dawnego sposobu, a gen. Kornilowicz zapominał wrodz. jej sobie łagodności i poczucia sprawiedliwości. Na badaniu Włodarskiego skończono dzisiejszą sesję. Dodać jeszcze musimy, że Bęczkowski skarżył się, iż policmajster Federow przy areztowaniu bił go po twarzy i targał za włosy, a Włodarski skarżył się że nie pozwolono mu załatwić interesów majątkowych chociażby przez list do żony, w skutek czego zrujnowany został.

Z Wołynia, 29 grudnia, piszą do Czasu: Adres o którym w zeszłym liście pisałem, adres nakazany przez gubernatora i napisany przez policję powiatów wołyńskich, przychodzi do skutku w ten sposób, jaki wskazałem: policja powiatowa posyła do Żytomierza arkusze podpisane niby przez włościan nieumiejących czytać i pisać, lub też niekiedy nakazuje jakiemu włościaninowi zanieść do gubernatora taki arkusz z adresem przez niego napisanym i z krzyżykami obok których położono rozmaite nazwiska włościan.

Wymyślono także drugiego rodzaju policijną nanifestację. Urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorze wołyńskim, nazwiskiem Neumann podał rządowi myśl, aby postawić w mieście Żytomierzu pomnik na pamiątkę mniemanego tysięcletniego bytu Rosyi, a postawić w miejscu w którym był wzniesiony krzyż dla pięciu pierwszych ofiar warszawskich. Myśl ta podobała się byłemu generał-gubernatorowi Wasilczykowowi i gubernatorowi wołyńskiemu Druckiemu-Sokolińskiemu, którzy nie zwalili, że właśnie postawienie takiego pomnika w Żytomierzu, zabranym zaledwie przed pół wiekiem Polsce, do której przez pięć wieków należała, w Żytomierzu, o którym na każdej swej karcie dzieje jak najjaśniej świadczą, że nigdy nie był częścią moskiewskiego carstwa, będzie nowym wybitnym dowodem, jak złudnym jest ów tysięcletni byt państwa rosyjskiego; dowodem, że to państwo składa się z samych niedawnych zaborów, gdy nawet pomniki swego bytu w świeżo zabranych stawia krajach. Niezważając na to generał-gubernator i gubernator rozesłali swych agentów, aby wybierali składkę od włościan, a jeżeli można od obywateli, na postawienie tego pomnika. Gdy jednak może zaledwo 1/10 składek dojdzie a 9/10 w biurokracji rosyjskiej utonie, daje to błogą nadzieję, że ze składek tych nigdy pomnik nie stanie, chyba rząd własne na ten cel przeznaczył fundusze, o czym jednak wątpić można zważając na oplakany stan finansów rosyjskich. Co do właścicieli ziemskich i oświecenijszej klasy w miastach, wątpimy, aby choć jeden grosz dał ktokolwiek na ten pomnik; i włościanie nic nie dadzą, wyjąwszy, że może egzekucjami co na nich policja powiatowa wymęczy, lub agenci im przedstawiają, iż to jest składka, aby wyrobić zupełne im gruntu.

Dochodzi nas tu opis egzekucji spełnionej w Kijowie na pułkownika wojsk rosyjskich Krasuckim, który za tak zwane przestępstwo polityczne skazany został z początku na śmierć, a następnie na 12 lat robót w minach syberyjskich. (Opis egzekucji w Kijowie na Krasuckim opuszczamy z listu tego, gdyż podajemy niżej szczegółowy opis z Kijowa nam nadany. P. R. Cz.)

Kijów, 8 grudnia. Pod tą datą podaje Czas późnione szczegóły (w głównej treści czytelnikom Dziennika już wiadome) o śmierci księżki Wasilczykowa, które jednak dla ich dramatyczności tu powtarzamy. Korespondent pisze:

Uwolnione zostały chwilowo trzy nasze prowincje od ciemiężącego je generał-gubernatora Wasilczykowa, zmarłego 25 listopada rano w mieście tutejszém; a jakkolwiek nie spodziewamy się, aby rząd rosyjski dał lepszego prokonsula, zawsze jednak śmierć jego, w której zdaje się widoczną karą Bożą, nie jednego złego przerażała.

Gdy wyroki sądu wojennego żytomirskiego na niewinnych obwinionych wydane, jak to wam przed parę miesiącami z Żytomierza słusznie przedstawiano, zatwierdzone zostały w Kijowie przez generał-gubernatora i spełnione, trudno było wyszukać nowych pozorów do śledztw i sądów wojennych, nowych pretekstów, do dłuższego utrzymania obostrzonego stanu wojennego i utrwalenia nieograniczonej władzy generał-gubernatora. Ks. Wasilczykow i jego zauszniczy przesraszeni, że może władza się ta zmniejszy, szukali nieustannie nowych pozorów do śledztw i nowych ofiar. Ajenci donieśli, że między oficerami jest spisek, że pułkownik sztabu Krasucki, urodzony na Białorusi, podejrzany jest o rozszerzanie pism Hercena w wojsku. Areztowano go, zrobiono rewizyę i gdy znaleziono podobno jakieś pisma tego autora, będące prawie w każdym domu w całym cesarstwie rosyjskim, stawiono go przed sąd wojenno-pולowy w Kijowie; a gdy utrzymywano, że dowiedziono mu, iż pisma takowe rozszerzał, skazany został na rozstrzelanie. Wyrok zatwierdzono, a Wasilczykowi pozostawiono władzę

oznaczenia dnia egzekucji. Tenże generał-gubernator nakazuje wyrok ogłosić zaraz pułkownikowi Krasuckiemu; lecz po ogłoszeniu wyroku śmierci, miesiąc jeszcze trzyma w twierdzy skazanego spodziewającego się lada chwila, że przyjdą wyrok wykonać. Po miesiącu takiej męki, przychodzi z Petersburga rozkaz, że jeżeli Krasucki jeszcze stracony nie został, darować mu życie, a pozbawiwszy wszelkich praw stanu formą na to przepisaną, wysłać do robót w kopalniach syberyjskich na lat 12.

Okropną egzekucją pozbawienia praw stanu urzędu Wasilczykow z całą okazałością. Każe wystąpić wojsku, sam wyjeżdża na plac w całej paradzie otoczony licznym orszakem; wyprowadzają pułkownika Krasuckiego i ubranego w mundur okrytego orderami, stawiają pod pregięciem. Stojącemu tu, odczytują wyrok, a następnie kat obrywa mu szlify, ordery, zdiera mundur, łamie szpadę nad głową i uderza dwa razy w policzek. Spotręglęszy na nieszczęśliwym Krasuckim medalion z wizerunkiem Najświętszej Panny, chciał mu kat i ten zerwać. Tu Krasucki dobywszy ostatnich sił zawołał: „Życie możesz mi odebrać, to twoje rzemiosło, lecz tego znaku świętego rękami twemi kalać nie śmięsz, wszak to nie od cara pochodzi.“ Wojsko i lud zaczęli szemać, w tym uderzenie w bębny zgłuszyło słowa Krasuckiego, lecz medal z wizerunkiem Najświętszej Panny mu pozostawiono, a ubrawszy w aresztanckie odzienie, odprowadzono z placu.

Nieszczęśliwa żona Krasuckiego chcąc jeszcze raz męża widzieć pożądaną, była obecna na placu i dostała pomięszania zmysłów. Ks. Wasilczykow stojąc ciągle konno, przestrzegał pilnie form i porządku egzekucji, a po skończonej wrócił do domu uradowany, iż dał przykład surowości. Wkrótce jednak uczuł się słabym, z przeziębienia dostał febrę i położył się w łóżko. Wywiązał się tyfus, następnie dostał anginy zaduszeniem grożącej; lecz lekarze uczynili operacją, która stan jego polepszyła. Korzystając z tego polepszenia, leżąc w łóżku podpisuje Wasilczykow wyrok skazujący dwóch młodych ludzi Miklera i Wołskiego w żołdacy za karę bez wysługi. Podpisuje także odezwe do gmin włościańskich, w której każe ogłaszać ludowi wiejskiemu, że „carowie rosyjscy lat 50 pracowali nad wyzwoleniem jego i wyrwaniem go z rąk lackich, że swobody, których już używa i używać będzie, winien tylko carom, którym okazawać zawsze winien miłość i przywiązanie bez granic i z najzupełniejszém posłuszeństwem, spełniać bez wahania wszelkie ich rozkazy.“ W kilka godzin po podpisaniu tej odezwy, choroba jego się pogarsza i po długim 20godzinnem konaniu, umiera.

Księżna Wasilczykowa, kobieta dumna, która w istocie za życia męża wszystkich rządziła, przestraszona jego śmiercią, przychodzi sobie na pamięć całe swoje rządy i dostaje pomięszania zmysłów, które ją chwilami opuszczają. W czasie obłąkania ubiera się w szlafrok męża, chodzi po pokojach mniemając się jeszcze generał-gubernatorową. Przystędzwszy do siebie, pisze list do cesarzowej z prośbą o ulaskawienie Krasuckiego, lecz odpowiedzi nie odbiera.

GALICJA.

α Lwów, 30 grudnia. Nie można nikomu za złe poczytywać, jeżeli w ważnych sprawach narodowych głos zabierając myśl swoję swobodnie wypowiada. Lecz z drugiej strony przysługuje i każdemu innemu równe prawo, a z różnych zdań wyrabia się powoli sąd najwłaściwszy o rzeczy. Do najdrażliwszych dziś kwestyi należy niewątpliwie ruska, która w różnych stronach rozmaite a nawet całkiem odmienne przybera znamiona. Nie przeczę, że miejscowi publicyści za gorąco może w tej sprawie występują, lecz za to ich zdaniem nie należałoby pominać, gdy przeciw nierównie lepiej z całą sprawą są obeznani, niż wszyscy zamiejscowi, którzy obok przedmiotowego a więc beznamytnego zapytywania się na nie, mogą mieć dość danych do ocenienia jej wszechstronnie. W tym położeniu jest zdaniem mojem redakcja Tygodnika Poznańskiego i jej pragscy adresanci (w nr. 46 i 51), którzy rozmarzeniem wszechsłowiańską ideą i obalaniem czeskim zapytywaniem się na stosunki nasze, przepisują nam recepty, jak postępować z Rusinami, aby ich dla sprawy pozyskać. Najgłówniejszą składową częścią tej recepty ma być przyznanie największej samodzielności Rusinom, przy czem dostaje się tego lwowskim literatom za ich fanatyczne wycieczki przeciw Rusinom. Nie potrzebuję zresztą streszczać wam ani artykułu Stanisława Dołęgi (w nr. 46), ani przypisku redakcyi Tygodnika Poznańskiego do tego artykułu, ani w końcu odezwy z 6 grudnia z Pragi i przypisku redakcyi z 18 grudnia w nr. 51, ponieważ sami możecie sobie to wszystko w całości odczytać. Za to pozwolicie mi rzucić kilka uwag odnoszących się do tej sprawy nader drażliwej.

Często daje nam się słyszeć, że sami pokrzywdzeni tak ciężko pod każdym względem, nie powinniśmy naśladować Niemców, Madziarów i innych, którzy chcieliby drugich mimo ich woli ubłogosławiać swą narodowością. Nie pojmuję, jak przy zdrowych zmysłach można z podobnym zarzutem przeciw nam wystąpić, lub porównywać chociażby w przybliżeniu postępowanie wspomnianych narodów, obcych najzupełniej Słowianom, z postępowaniem naszym względem Rusinów. Czy istotnie urobiono sobie wyobrażenie, że między Polakami a Rusinami takie same zachodzą różnice, jak między Niemcami np. a Słowianami? Przywiedzione słowa Czecha Hawliczka Borowskiego z r. 1851, który zaprzecza twierdzeniem polskim co do mowy Rusinów, nie mogą nas przekonać, ponieważ nie widzimy w nich ani śladu jakiegos dowodu. My zaś mieszkając z Rusinami razem i będąc z nimi w codziennym styczności, wiemy lepiej od Czechów, jakie zachodzą różnice językowe, gdyż nie potrzebujemy się z książek uczyć, ale z żywej pogadanki. Otóż na podstawie tej styczności codzienniej nabyliśmy przeświadczenia, że język ruski prawdziwie ludowy i żyjący, jest narzęciem polskiego, odbiegającym nader mało od tegoż. Na dowód przytaczam pojedyncze zwrotki pieśni ludowych jak np. Dwa hołuby wodu pyły — Adwa kołutyły — Bodaj tyji neskonały — Szczo nas rozlucznyły. Albo: Kozak konia napował — Diuba wodu brała — Kozak sobie

zaśpiewał — Diuba zapłakała. Albo: I szumy i horyt, Drobnój doszczok ide — A k tóż mene mołodeńku Taj do domu powede. Albo: Ne chody Hryciu Na weczernyciu, Bo na weczernyci, Wsie czarownici itp. Mógłbym mnóstwo innych pieśni tego rodzaju, a czysto ludowych, wam przytoczyć, lecz i przywiedzione wskażą wam najwidooczniej, czy słusznie lub niesłusznie mowę ludu tutejszego możemy poczytywać za narzęcie języka polskiego. Od tej mowy ludowej trzeba odróżnić język cerkiewny, którego lud nie rozumie należycie, a który niewłaściwie chcą nazywać ruskim. Język ten liturgiczny nie jest dziś żyjącym, ponieważ nikt go nie używa w mowie potocznej. Język zaś ksiązkowy, którego obecnie używają nasi świętojurcy, jest najniej ruskim, a dla ludu tak niezrozumiałym, że większość gmin wiejskich oświadczyła się w urzędach rakuskich, aby im wszystkie rozporządzenia i okólniki w polskim a nie w owym nibyto ruskim przysełano języku, dodając, że to co po polsku im bywa czytane, rozumieją, tego zaś co w tym drugim języku przychodzi, zrozumieć nie mogą. Był w jednym z sądów tutejszych ciekawy w tej mierze wypadek. Oskarżony włościanin obrządku grecko-katolickiego wysłuchawszy akt zaskarżenia odczytany przez prokuratora w takim nibyto ruskim języku i zapytany, czy rozumie, upraszał najnawniej, aby mu to odczytano po rusku, gdyż nie rozumiał, co ten pan czytał. Jeżeli przeto zechcemy uwzględnić te okoliczności, okaże się najprzód, że lud rozumie doskonale po polsku, powtóre, że nowo tworzony język ksiązkowy, zasilany głównie wyrazami moskiewskimi nie jest ruskim, a w końcu, że lud tego tworzywa nie rozumie i gdzie może przeciw niemu się oświadcza.

Zastanówmy się teraz, kto właściwie u nas a mniej więcej i na całej Rusi występuje z twierdzeniem, że narodowość ruska jest odrębną od polskiej i nic z nią nie ma wspólnego, a dalej z kogo się składa ta mniemana narodowość odrębno-ruska. Co do pierwszego wskazywałem wam już nie raz, że księża obrządku grecko katolickiego, ale nie wszyscy, są od lat nie wiele wyłączniami prawie opiekunami tej narodowości, a z nimi działają razem niektórzy z urzędników rakuskich. Jest to więc fakcja czysto klerykałna prawie, opierająca się na dwu konsystorzach, u nas przynajmniej. Pod ich kierunkiem idzie garstka młodzieży obrządku grecko katol. i tu znów wyłącznie niemal synowie księży, ale także nie wszyscy, ponieważ co moralnie znacznie stronili od tych trochę z hajdamacką wyglądających przyszłych przedstawicieli ruszczyzny. Jest więc rzeczą niewątpliwą, że cała ta fakcja, bardzo goiliwie przez rząd rakuski wspierana, składa się z księży obrządku grecko katolickiego, ze synów księży (czyli jak ich tu zowią z prosta, popów i popowiczów) i z garstki urzędników. Co do drugiego, nie pojmujemy prawdziwie, jak można prawić o jakiejś odrębności narodowej, jeżeli prócz księży obrządku grecko katolickiego i włościan, nikt się sam do niej nie zalicza. Mamy np. w samym Lwowie na przedmieściach mieszkańców obrządku grecko katolickiego, lecz żaden z nich, uczęszczając nawet do cerkwi tego obrządku, nie mówi po rusku, a przy procesjach śpiewają pieśni nabożne polskie. Ma to być przeto narodowość złożona z księży tylko i włościan a przy tém z garstki bardzo lojalnych urzędników rakuskich, przesładojących zajadłe wszystko co polskie. W nowszych czasach powcisłano bardzo wielu gorliwych świętojurców na posady nauczycielskie, mając zawsze w odstawce kilkunastu seminarzystów uniackich na przypadek, gdy jakie otworzy się miejsce. Obałamucono część młodzieży, lecz czyż to wszystko razem zasługuje na nazwę łążeń narodowych?

Kto chce na ostatnie pytanie odpowiedzieć sumiennie, winien na miejscu dobrze we wszystkiém się rozpatrzeć, a nie teoretycznie rzecz rozstrzygać. Główni kierownicy całego ruchu używają hasła narodowości jako osłony, aby innych dopinać celów. Nie chodzi mi o zmiany w obrzędach, i potępiam zawsze niedorzeczne wycieczki dzienników tutejszych co do tego przedmiotu. Niech się księża między sobą o to spierają, jeżeli to za dobre uznają, a dziennikarstwa obowiąskiem wyjaśniać sprawę ze stanowiska społecznego, politycznego i narodowego. Tygodnik poznański powiada (w nr. 51), że „nikt nie ma prawa stawiać Rusinom przeszkody na drodze rozwoju ich literatury, nikt nie ma prawa bronienia im pisania kirylją lub zakładania szkółek i szkół rusińskich obok polskich w okręgach mieszanych.“ Co do pierwszej części tych słów gromkich, zapytujemy szanownych a nam nieznanym adresantów z Pragi, gdzie też wyczytali, by kto u nas stawiał Rusinom takie przeszkody? Czyż mamy w rękę cenzurę? Piszą, co im się podoba, a cenzura jest pewnie nie względniejsza, niż na nas. Jakież więc przeszkody im stawiano? Czy adresanci chcą może, abyśmy zbierali składki na zasillanie ich literatury? O przeszkodach nie wiemy, a jeżeli w przeciągu lat kilkunastu nader mało wydali, mimo wsparcia rządów rakuskiego i moskiewskiego, dowodzi właśnie, że ich mniemana narodowość nie ma sama w sobie sił żywotnych, a tak nie zdoła podobno nigdy się rozwinąć. Co do kirylicy nikt z naszej strony nie zabraniał im tejże, a jeżeli ministerium wiedeńskie w drodze urzędowej abcadłem ich się zajęło i nawet komisją we Lwowie złożyło, niech z niem a nie z nami spór o to zwodzą.

Co zaś do szkółek i szkół sądzimy, że wychowanie publiczne nadto ważnym jest przedmiotem, by i na tém polu odgrywać komedje jakieś językowe. Zapytamy adresantów, jaki może być cel wprowadzenia wykładów ruskich? Ten jedynie, aby młodzieży ułatwić możność nauczania się tego wszystkiego, co w szkole wykładają. Ułatwienie podobne uzyskuje się wtedy tylko, jeżeli język wykładowy jest uczniom najzupełniej zrozumiały. Tym językiem byłyby czysto-ruski, to jest ludowy, gdyby najprzód młodzież równie dokładnie polskiego nie rozumiała, a powtóre, gdyby w języku ludowym można wszystko wykladać. Lecz pytamy się każdego człowieka nieuprzedzonego, co za pożytek będzie z tąd dla młodzieży i kraju, jeżeli dogadzając zachęceniom świętojurskim wprowadzą wykłady w jakiejś niezrozumiałej mieszance językowej, której niewłaściwą nadano nazwę języka ruskiego? Możnaż nie występować przeciw temu? Możnaż zezwalać, aby stósownie do wyraźnie wypowiedzianych życzeń świętojurców we wszystkich szkołach części

wschodniej kraju wprowadzono także wykłady pseudo-ruskie? Możemyż zezwalać sami, aby nasze dzieci miasto uczyć, męczono w szkołach? Co za pożytek z tych szkół oboznych ruskich, gdyby na takich świętojurcy przestać chcieli? Wiedzą adresanci, co by z tąd wynikało? Zmuszanioby przemocą dzieci uniackie, aby wbrew woli własnej i rodziców koniecznie do takich szkół chodzą, jak to niedawno, dyrektorowi tak zwanego gimnazjum polskiego ministerium wiedeńskie pod najsurowszą odpowiedzialnością nakazywało, aby się nie ważył chłopców uniackich do tegoż gimnazjum przyjmować, chociażby sobie tego sami rodzice życzyli. Niech szanowni adresanci po rozważeniu tych przytoczeń sami teraz orzekają, kto komu stawiał i stawia przeszkody, a niech nam wybaczą, jeżeli w ich żądaniu i w upatrywaniu strony praktycznej. Nie powoduje nami żadne zaślepienie fanatyzmu, ale proste z codziennego doświadczenia urobione przekonanie, że jak z naszymi świętojurkami tak z wszystkimi koryfeuszami rusinizmu nie podobna i nie warto bawić się w ustępstwa, gdyż nie trafia się do celu. Powiadamy im zawsze, że skoro wyżej umysłowo i społecznie od nas stana, wówczas bez sporu będą przewodzić. Dziś trudno dogodzić zachceniom garstki ludzi, którzy radziby tworzyć odrębną narodowość, a głównych do tego materyałów nie mają, chociaż ciągle prawią, że za lat kilka kraj cały inaczej będzie wyglądał. Czyż można ludzi takich uważać nawet za przedstawicieli jakiegokolwiek narodowości?

Niech nikt nam nie powtarza bajek o jakimś kilkunastokrotnym ucisku i prześladowaniu narodowości ruskiej, która tém samém musiała podupać, ponieważ najprzód żadna narodowość prawdziwa, mająca w sobie samą siłę i żywotność, nie upada pod uciskiem do tego stopnia, by znikła z pomiędzy tych warstw społecznych, które jakieś takie mają ukształcenie. Lecz przedewszystkiem musi każdy najpóźniej z dziejami ojczystymi obeznany zaprzeczyć, że u nas było kiedykolwiek prześladowanie narodowości czy to ruskiej czy innej. Wszystko, co w tém mierze przytaczano, odnosi się do rzeczy tylko religijnych, a nie dotyczy bynajmniej narodowych. Nie ma śladu nigdzie w źródłach dziejowych, by kogo zmuszano do wyrzekania się swęj ruskości, by przeszkadzano rozwojowi literatury ruskiej, chociaż prześladowano wyznawców cerkwi wschodniej, nie połączonej z kościołem katolickim. Że nie było prześladowania narodowości, jest w tém najlepszy dowód że unitom pozostawiono dawną cerkiewną liturgią. Jeżeli zresztą stan ziemski na Rusi pociągany swobodami ziemian polskich sam się dobrowolnie spolszczył, czyż wolno o to winać Polaków? Jakież zresztą przyczynie przypisać, że miasta są tu przeważnie polskie? Na te pytania trzeba bez uprzedzenia wpród odpowiedzieć, zanim się wystąpi z naukami i przepisami. Wszelkie zresztą wspaniałomyślne przyzwalania na zachcianki łada fakcji lub kotery nie przyniosą pewnie sprawie narodowej najmniejszego pożytku.

Tygodnik poznański uczy nas, że miasto zwodzić spory, byliby literaci tutejsi lepiej zrobili, gdyby wydawali czasopismo ruskie łańskimi czcionkami, i twierdzi, że dziś nie byłoby już slychać o świętojurcach, ale za to byliby Rusini dalsi do nas przylgnęli. Na to możemy mu odpowiedzieć, że w latach 1848—1850 wychodziło tu pismo podobne pod redakcją Wagilewicza, ale musiano go zarzucić przeświadczony się w końcu, że to na nic się nie przyda. Książka bowiem tacy, którzy za pieniądze i obietnice naszych wrogów ruchem kierowali, nie dali się przekonywać żadnym wywodami, czy te po polsku czy po rusku były pisane, a za to rozumeli się dobrze na rublach i guldenach. Do innych, którzy pilnowali swych obowiązków kapłańskich, nie było potrzeby przemawiać po rusku, gdy sami w potocznej mowie w domu i za domem polskiego używali języka. Lud zaś wiejski nie czytał ani po rusku ani po polku. Dla kogoż miały być owe pisma ruskie łańskimi czcionkami, po których redakcja Tygodnika poznańskiego takich się cudów spodziewa? Zresztą na co tych komedii, jeżeli każdy z nas wie najdokładniej, że sami najgłośniejsi koryfeusze dzisiejsi ruszczyzny przed laty 14 po rusku nie mówili? Dziejsiejszy metropolita Jachimowicz będąc rektorem seminarium grecko katolickiego we Lwowie, patrzył sam w r. 1837 i dalszych, jak seminarzyści jego podczas ostatków zapust odgrywali komedye polskie Bohomolca. Dla czegoż przed r. 1848 w seminarjum tém wszystkie mówili po polsku i sam nawet ks. Jachimowicz? Któż ich zmuszał do tego, czy może rząd rakuski? Zaszłaż dziś tak nagle zmiana, że księży obrzędu grecko katolickiego posłując w sejmie śmieli twierdzić, jakoby po polsku nie rozumieli?

W obec dążeń fakcji podobnych, jak świętojurska i inne, narodowość jest cczą maską tylko, ubliżałoby się własnej godności i samej sprawie, gdyby się wchodziło w jakieś układy. Niebaczni politycy, powodujący się jakąś chorobliwą uczuciością, mogą upatrywać w dążeniach fakcji podobnych objawy poczucia narodowego, a skorzy w zapędach jniackiej wspaniałomyślności, pisać się na wszelkie żądania niemiemych owych przewodzców narodu ruskiego; chcą i drugich skłaniać do tego. Trudno atoli zgadzać się na to, patrząc na wszystko z bliska, i znając dokładnie wszystkie sprężyny, które ruch ten podtrzymują. Przyznać samodzielność, o jakiejś prawy Tygodnik poznański, znaczyłoby to samo, co upoważnić owe fakcje do najcięższego prześladowania polskości w miastach i urzędzie, gdzie dziś góruje. Proszę tylko sumiennie rozważyć, co by z tąd dobrego dla tych krajów wynikało, gdyby Litwinowicze, Kuziemscy i reszta tego rodzaju mogli robić, co im się podoba? Macież na całej Rusi urobioną jakąkolwiek inteligencją, którąby mogła równoważyć wpływ kleru, mającego wszędzie i zawsze odrębne dążenia i cele swoje? Byłoby to więc zdawać na łaskę kleru wszystkich i wszystko, czemu prosty rozsądek się przeciwuje. Jeżeli zaś miasta i wyznawców obrzędu łańskiego także się uwzględni, a przy tém zważyć, że to Polacy tworzący całą umysłową potęgę stron tych, z kądeż znowu jakieś przyznawania samodzielności Rusinom, którzy prócz księży obrzędu grecko katol. lub wschodniego innej prawie nie mają inteligencji? Wiecież, co rozumieją świętojurcy nasi, Sulimowicze i inni pod samodzielnością Rusi? Nie mniej nie więcej tylko zupełną zagładę żywiołu polskiego. Chcecież, abyśmy sami na się

pisali? Lecz bądźcie spokojni, wiemy lepiej od was, że cała ta agitacja rozchwije się niebawem, gdy ją obcy wspierać przestana, gdyż nie ma sama w sobie siły i potęgi.

FRANCYA

Paryż, 2 stycznia. Skutkiem ostatnich obrad w senacie hiszpańskim, dotyczących się Meksyku, rozprężyły się tak dalece stosunki dyplomatyczne między Paryżem i Madrytem, że grożą zupełnym zerwaniem, zwłaszcza że ministerstwo O'Donnella mocniej jeszcze stanęło i dało dymisy kilku dygnitarzom i wyższym urzędnikom, którzy okazywali skłonność ku polityce francuskiej w meksykańskiej sprawie. W Paryżu sprawiło postępowanie rządu hiszpańskiego wielkie rozjątrzenie. Cesarz był również mocno rozdrażniony ostatniem (sprawozdaniem) generała Forey, który donosi podobno, że musi rozpoczęcie stanowczych kroków wojennych odroczyć aż do połowy Intego, dopóki nie otrzyma świeżych posiłków. Cesarz wyraził na seryo niezadowolnienie w długim liście, który przesłał przez swego oficera służbowego Gallifet. Mimo to rozkazano 5000 ludzi wyprawić do Meksyku. Wiceadmirał Juven urządziwszy administrację w Tampico i zabezpieczywszy to miasto, pnuł się z małą eskadrami aby obejrzeć nadbrzeża prowincji Tamaulipas aż do granic Teksasu.

— Ostatnie wiadomości z Kochinchiny donoszą o powstaniu, które przeciw cesarzowi anamityckiemu w Tonkinie wybuchło. Z Chin dowiadujemy się, że rząd rosyjski ofiarował cesarzowi chińskiemu pomoc swoją przeciw Taipingom, którzy takim sposobem będą mieli trzy europejskie wojska przeciw sobie. Polowanie na rozbójników morskich w morzach chińskich nie ustało; parostatki angielskie i francuskie chwytają ich mnóstwo i oddają władzom chińskim. Niedawno temu w Chin-hai ścięto 200 takich rozbójników, a w Chuzonie nawet 600.

— Nim usunięte zostaną wszystkie trudności, które rządy niemieckie wszczęły przeciw traktatowi francusko-pruskiemu, mają niebawem tylko pewne jego części być wykonane, mianowicie układ dotyczący się żeglugi i własności literackiej.

— Wczoraj odbyło się, jak zwykle, wielkie przyjęcie noworoczne w Tuileries. Ceremoniał był ten sam co każdą razą, a wypadku, nawet wyrażenia żadnego nadzwyczajnego nie było. Nuncyusz papieski przemówił w imieniu ciała dyplomatycznego i ograniczył się na wypowiedzeniu swych życzeń dla pomyślności rodziny cesarskiej. Cesarz, odpowiadając mu bardzo krótko, wyraził także pewną nadzieję, że pokój utrzymanym będzie w roku, który się rozpoczyna.

— Dekret cesarski nowo ogłoszony stanowi, że posiedzenia rad prefekturalnych, na których roztrząsane są sprawy sporne, mają być na przyszłość publiczne.

— Wojna między Persją i Afganami zdaje się coraz prawdopodobniejszą, listy ze Stambułu donoszą o gońcu schwytanym przez Persów z ważnymi depeszami do sułtana Afganów, w których rząd angielski namawia ich do wojny i przyrzeka swoją pomoc.

— W zastępstwie arcybiskupa paryskiego wzięła górę zasada galikańska; tymczasowy zarząd diecezji oddany został trzem oficyalom. Pogrzeb arcybiskupa, który nie chciał nigdy w kościołach swoich zaprowadzić liturgii rzymskiej, odbędzie się w przyszły poniedziałek, kosztą jego poniesie miasto Paryż. Wizerunek zmarłego na rozkaz cesarski umieszczonym będzie w muzeum narodowem wersalskiem.

— Rząd francuski wysłał kilkunastu oficerów do Anglii, aby byli przytomni ważnym doświadczeniom, które się odbywać będą z działami Armstronga i Withwortha.

— Pojawił się dzisiaj pierwszy numer nowego dziennika *Nation*, zawierający jego program, napisany przez głównego redaktora Granier de Cassagnac.

Paryż, 3 stycznia. Na uroczystości onegdajszej, przemawiając w imieniu ciała dyplomatycznego, powiedział nuncyusz papieski następujące słowa do cesarza: „Najjaśniejszy Panie! członkowie ciała dyplomatycznego proszą WCM. aby raczyła przyjąć hołd głęboki, który mam zaszczyt złożyć Jój w ich imieniu z okoliczności nowego roku. Jesteśmy szczęśliwi, NP. za każdą razą kiedy możemy wyrazić życzenia nasze, mające na celu szczęście WCM., szczęście jego dostojnej rodziny, i pomyślność Francji.“ Cesarz odpowiedział mu na to: „Zyczenia, które mi JWPan wyrażasz, imieniem ciała dyplomatycznego, żywo mnie dotknęły. Szczęśliwym się czuję z początkiem roku, widząc się otoczony przedstawicielami wszystkich mocarstw. Mogą oni świadczyć o méj chęci wytrwania z nimi w stosunkach przyjaźni, tak potrzebnych dla bezpieczeństwa teraźniejszości i przyszłości.“ Potém rozmawiał cesarz z kilkoma posłami, którym chciał dać dowód szczególnych swych względów; między innymi przemówił także do pełnomocnika hiszpańskiego Muro i wyraził mu żal swój z powodu niebytności Concha, jako też nadzieję, że stosunki między Francją i Hiszpanią będą jak najlepsze. Ze względu na wiadomą powszechnie nieprzychylną dworu i rządu hiszpańskiego dla Francji, jako też na ostatnie wypadki parlamentarne w Madrycie, przemówka cesarza do p. Muro nie jest bez znaczenia. Generał Concha, o którym myślano, że tylko ze względów parlamentarnych wziął dymisy, nie wróci już do Paryża, ponieważ okazał nadto przychylności dla Francji.

— Przemowa Ojca św. do zgromadzonych oficerów francuskich wielkie na nich zrobiła wrażenie; wzruszyła ich głęboko, zwłaszcza, że papież sam mocno był pocieszony. Wychwalał on wojsko francuskie z tego, że jest tak waleczne w boju, a tak karne w pokoju i dziękował mu za opiekę, którą dawało dotychczas stolicy apostolskiej. Mówił potém o cesarzu i wysławiał cnotę cesarzową, łącząc wyraz troskliwości dla małego cesarzewicza. Wreszcie wezwał błogosławieństwa Bożego na oficerów, żołnierzy ich rodziny i całą Francją. Tymczasem nie wszyscy, którzy papieża otaczają ożywieni są również przychylni dla wojska francuskiego uczuciami. Kilka dni wprzódy przemówił monsieur Méné, minister wojny do papieża z okoliczności święta patrona papieskiego, św. Jana ewangelisty, wychwalając za poświęcenie wojska rzymskiego

dla stolicy apostolskiej, powiedział, że kilku żołnierzy musi ponosić gwałtowne obrazy, kilku innych nawet więzić a wszystkie te krzywdy nie zachwiały ich wierności. Był wyrzut dla komendy francuskiej, która w ostatnim czasie skłara kilku żołnierzy papieskich za rozmaite wykroczenia.

— Dziennik frankfurcki *Europe* ogłasza bardzo ciekawą depeszę ministra Rechberga, z której się okazują obawy rządu austriackiego, sprawą grecką wywołane. Minister Rechber wystawia posłom austriackim przy dworach zagranicznych jako wypadki greckie są w ścisłym związku ze sprawą wschodnią w ogóle, a lękając się nowego wzrostu potęgi włoskiej protestuje naprzód przeciw wyniesieniu na tron grecki któregokolwiek z książąt włoskich.

— Dziwny wniosek pojawił się na ostatniem posiedzeniu izby deputowanych w Madrycie. Deputowany Mazaredo zakłamał ministra finansów, aby nie zapłacił Anglikom procentu długów, dopóki nie oddadzą Gibraltaru.

— Podług ostatnich wiadomości z Bukaresztu panu w Serbii tak wielkie rozjątrzenie umysłów, że się każdej chwili lękać można nietylko zatargów z Turcją, ale i wybuchu powstania przeciw rządowi.

Paryż, 4 grudnia. Obiega pogłoska, że wybuchło powstanie w jednej z prowincji kochinchinjskich należących do Francuzów. W skutek tego wydał podobno rząd do Tulonu rozkaz, aby natychmiast na Suez posłano admirałowi Bonnardowi kilka łodzi kanonierskich.

— Ciekawy artykuł czytamy dzisiaj w *Siècle*, w którym Ernest Legouvé potępia niesprawiedliwość i zniewagę wyrażoną aktorom, którzy nigdy za postępy w sztuce swojej i zasługi w niej nie uzyskują honorowych oznak, podczas gdy na innych artystów, malarzy, snycerzy, a nawet skrzypków i klawicymbalistów orderzy jak grad się sypią.

— Wiceadmirał Jurien, dowódca eskadry francuskiej w Meksyku, odesłał napowrót wielką pancerną fregatę *Normandie*, ponieważ jej tam użyć nie może. Podług dzienników półurzędowych chce generał Forey, nim rozpocznie cośkolwiek stanowczego przeciw Puebli, oczyścić z gerylasów trójkę leżącą pomiędzy drogami, które wychodzą z Vera-Cruz idąc z jednej strony do Perote, z drugiej do Orizaby. Gdy mu się to uda, i gdy tym sposobem zabezpieczy swój związek z Vera-Cruz, natenczas zebrałszy wszystkie oddziały swoje pod Amozoc, ruszy na Pueblę. We wszystkich miasteczkach i wsiach przez Francuzów zajętych każe generał Forey obierać mieszkańcom nowe zwierzchności.

— Z Madrytu donoszą o stanowczém podaniu się do dymisy, jako posła w Paryżu, marszałka Concha, a łatwo by można było, iż poseł francuski w Madrycie, Ferdynand Barrot, weźmie urlop, w skutek czego nastąpi poniekąd zawieszenie stosunków dyplomatycznych między Paryżem i Madrytem.

— Druga córka królowej Wiktoryi, księżna Alice, wyrócić na została wczoraj z powozem przez nieostróżność stangreta. Szczęściem, chociaż jest przy nadziei, nie poniosła żadnego szwanku, prócz lekkiego draśnięcia lewej ręki.

— Jeden z paryskich korespondentów do *Czasu*, mówiąc o tém co w Polsce od lat dwóch na rzecz emancypacji i równouprawnienia żydów zrobiono, dodaje:

Jakie skutki ten ważny akt na zewnątrz i wewnątrz kraju mieć będzie, już obliczyć można, czas zaś coraz więcej dowodów nastęrczy. Izraelici na całej kuli ziemskiej sprzyjają nam teraz. W Paryżu zawiązało się towarzystwo polskich wszystkich wyznań religijnych. Na czele stoją rabini Astrom Munch, Bernard, Levi, Cohen itd. Organem stowarzyszenia są *Archives-Israelites*, wydawane od lat 20 przez pana Cohena. Pismo wspomniane od początku założenia było otwarte dla obrońców dobrej sprawy. Jest ono zarazem organem głównym towarzystwa *de l'Alliance Universelle des Israelites*. Stowarzyszenie polskie rozpoczęło nabożeństwem w kościelce, to jest mszą św., i nabożeństwem w synagodze, to jest modlitwami. Izraelici asystowali mszy św., chrześcianie byli przytomni modłom wyznania Mojżesza. Potém na zebraniu u rabina były rozprawy, w których i księża polscy udział brali. Ci ostatni powstawali na talmud, zarzucając mu szerzenie niewiary przeciw chrześcianom. Doktorzy Izraela, rabini, na obronę swoich ksiąg cytowali wyjątki dowodzące, że talmud sprawiedliwych różnowierców z raju nie wyklucza, że lichwy pobierać zakazuje, że rolnictwo jako główne Izraelitom zatrudnienie zaleca. Można by obrońcom zrobić uwagę, że w zgromadzeniu wiernych wyznania mojszeszowego znajdują się widać kazuiści, którzy tekst talmudu fałszywie przedstawiają, skoro tak mało żydów do roli się bierze, a tak wielu na lichwę pożyczka. Ale podobny zarzut mógłby także wywołać replikę, dla czegoż się nas od własności wyłącza i prawami wyjątkowymi kępowali? Zgromadzenie postanowiło zalecać Izraelitom w Polsce naukę języka polskiego i przykładają starań do upowszechnienia takowej. We Francji jest wielu Izraelitów, którzy hebrajskiego języka nie znają i tylko francuskim posługują się. Nie ma już mowy o dyalekcie naszych Izraelitów, który włościanie miejscowi czasem rozumieją, ale w żadnym innym kraju współwyznawcy nie znają. W Alzacji, która ze wszystkich prowincji francuskich najwięcej liczy żydów, nasi rodacy wyznania mojszeszowego, jeżeli języka niemieckiego nie posiadają, zrozumieć się nie dadzą. Stowarzyszenie, o którym wyżej mówiłem, zawiązało stosunki z Izraelitami w Anglii zamieszkałymi, a wiadomo, że liczba ich jest wielka. Jest rzeczą przewidzianą, że wkrótce węzeł spójni jawnej, silnej i zbawienniej połączy dobrze życzące dzieci Izraela. Tylko wrog lub umysłowy zaślepieniem dotknięte indywidualia mogą nie widzieć w wielkim akcie równouprawnienia Izraelitów, zorzy przyszłości lepszej. Dla wszystkich słońce świeci. Warto ażeby też dla wszystkich jedno prawo było.

— Dnia 26 grudnia w hotelu Lambert był drugi dzień otwarcia venty. Muśtowo dam francuskich ofiarowało współudział w téj miłosiernej pracy księżna Anie Czartoryskiej. Salony hotelu Lambert nie mogą teraz odwiedzają towarzystwu francuskiemu świetnymi przyjęciami, które tak bywały

